



Anna Staszewska

Sygnatura notacji: **N1312**

Data urodzenia: **17.11.1953 r.**

Data nagrania: **13.11.2018 r.**

Miejsce nagrania: **Centrala IPN, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sikorski**

Czas nagrania: **56 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Tomasz Sikorski: Na początku bardzo panią proszę, żeby pani się przedstawiła, gdzie i kiedy pani się urodziła, jak się nazywali, kim byli rodzice. Kilka słów o miejscu dzieciństwa i dorastania, a potem w takiej kolejności, jak pani to czuje. Proszę nam opowiedzieć przedwojenną i wojenną historię rodziny: dziadka, ojca, pozostałych krewnych.

Anna Staszewska: Nazywam się Anna Staszewska, urodziłam się w Myszyńcu, w 1953 roku. Opowiem historię o mojej rodzinie, o dziadku, Stanisławie Domańskim, który mieszkał w Warszawie. Jak ojczyzna potrzebowała do walki o odzyskanie niepodległości... Dziadek najprawdopodobniej zgłosił się na ochotnika i w 1919 roku służył w 30. pułku piechoty. Wiem dokładnie o tym, że dziadek nawet w dziewiętnastym, w dwudziestym roku brał udział w działaniach wojennych na Kurpiach i stąd się tak stało, że jak zwolnieni byli z wojska, to dziadek trafił do Lasów Państwowych i trafił do nadleśnictwa Myszyniec, ze względu, że znał te tereny z okresu działań wojennych z okresu I wojny światowej. Był wiele lat i przed II wojną światową dziadek został przeniesiony do nadleśnictwa Łomża. W nadleśnictwie Łomża był na leśniczówce „Mały Płock”. Był kilka lat tam również. Jak wybuchła wojna w trzydziestym dziewięcym roku, dziadka w tym samym czasie przenieśli do Czerwonego Boru. Rodzina została w „Małym Płocku”, bo jeszcze dziadek nie otrzymał leśniczówki w Czerwonym Borze. I tak się stało, że jak Rosjanie 10 lutego 1940 roku przyszli w nocy po rodzinę, to babcia była tylko z dwojgiem dzieci: z synem średnim, Zygmuntem i z najstarszą córką, Henryką. Młodsza córka była w szkole, w gimnazjum i mieszkała u nauczycielki w Łomży na stacji. Dziadek w tym czasie był w Czerwonym Borze. I tak się złożyło, jak enkawudziści wieźli saniami do Łomży nad ranem, to ojciec mój, Zygmunt, poprosił, aby zająć po siostrę w Łomży, żeby zabrać młodszą siostrę ze sobą. I wszyscy dotarli do stacji PKP

Łomża i załadowani zostali do bydłych wagonów, do transportu. Dziadka w tym czasie nie było. O dziwo, zaczęły transport ruszyć, przygnano, przypędzono wręcz grupę mężczyzn i to dosyć liczną grupę mężczyzn w Łomży, na peron. Do drugiego transportu szykowano, przeganiano. I takim cudem moja ciocia Henryka, najstarsza córka, zobaczyła swojego ojca przez szpary wagonów. Mówiła, że była niepewna. Zaczęła krzyczeć: „Tato!”. Dziadek się odwrócił i już wiedziała, że to jest ojciec. Zaczęli stukać, pukać w wagony. Rosjanie otworzyli i na prośby całej rodziny dziadek wrócił do wagonu razem ze swoją rodziną. Byli wywiezieni do obłasti Archangielsk, posiołek X. Tak się złożyło, że tam nawet był moment, że rodzina została rozdzielona, dziadek ze starszą córką do innego kwartału, babcia z dwójkiem dzieci gdzie indziej. Na prośby zostali złączeni. Pracowali w tajdze przy wyrębie drzewa. I ciocia nawet, starsza, mój ojciec, to pracowali przy wyrębie drzewa. Z kolei babcia również jakiś okres pracowała ze względu na to, że dostała 200 gram chleba więcej, jak pracowała ciężiej. Dziadek również w lesie. Dziadek, po polsku jak powiedzieć, to był, strugał pnie drzewa, z kory obierał. A w języku rosyjskim to jest rakarz drzew, to dosłownie tak mam w dokumentach. Tak się złożyło, że ciężko pracowali. Dziadek starał się organizować wielu zesłańców, żeby chociaż trzymali taką polską grupę, patriotyczną, ze sobą. I tak się złożyło, że jak była amnestia, nie wypuścili wszystkich. Dziadek, Stanisław Domański, pułkownik Prechitko – wiem, że był z Gdańska, kapitan Niedźwiecki, z Łomży... Nie, przepraszam, z Litwy. Że oni między innymi z cywilami, którzy się wcześniej grupowali, zostali. Ojciec z siostrami i z babcią wyruszyli z panem Kuleszą Mikołajem, który był z Długosiodła, że wyjeżdżają z tego łagru. I okazało się, że pan Kulesza gdzieś tam wybrał przypadkowo punkt na mapie, na wschodzie. Mojemu ojcowi się to bardzo nie podobało. Jadą i jadą do... W bardzo brzydkie miejsce. Opowiadał, że zajechali. Polacy byli słabo kontaktowi, czyli byli umęczeni najprawdopodobniej tą sytuacją. Więc ojciec się zbuntował, a mój tato już wtedy miał ze dwadzieścia lat, że absolutnie nie wysiadają, że chcą bliżej granicy, tak rozmawiali między sobą, na zachód Rosji, żeby bliżej było Polski. I tak się złożyło, że o dziwo prośby rodziny i nie tylko mojej rodziny, innych rodzin, bo się już zbuntowali przeciwko panu Kuleszy, że chcą wracać na zachód Związku Radzieckiego. Enkawudziści o dziwo wysłuchali i się pytają: „Gdzie byście chcieli być?”. A słowa taty były takie: „Było miasteczko, dużo, dużo wcześniej, gdzie były sosny i piasek”. No, ale nie dokończył. A wszystkim opowiadał, że tak jak u nas na Mazowszu. Okazało się, że to było miasto Melekes. Wrócili do tego miasta z powrotem, no i każdy sobie znalazł jakąś kwaterę, jakieś pokoje i każdy gdzie mógł, zaczął pracować. Mój tato pracował na bazie jako kierowca z tego powodu, że przed wojną zdążył skończyć dwie klasy mechanicznej szkoły w zespole szkół w Ostrołęce. Trzeciej klasy nie skończył, bo wybuchła wojna. I taki paradoks, że tata w czasie kilkunastu minut pakowania się zabrał ze sobą w węzełek swój mundurek harcerski. I tak się okazało, że nawet babcia nie wiedziała, że on go ma ze sobą razem, wspólnie. Na Syberii jak zobaczyła, że tata ma mundurek, mówi: „Zygmunt, jak enkawudziści zobaczą, to będzie po nas. Ten mundurek trzeba gdzieś zakopać”. Tata tak sobie mówi, opowiadał nam to wielokrotnie, że sobie pomyślał: „Jak ja mogę guziczki harcerskie zakopać w ziemi?”. I te guziczki sobie przeszył do starego, pocerowanego sweterka. I tak się złożyło, że tato jeździł do ambasady i na starania ambasady, naszej dyplomacji, resztę osób, które zostały w tych łagrach, w tym Melekesie... Znaczą się, nie w Melekesie, tylko w posiołku X, w obłasti Archangielsk, na prośby naszej dyplomacji zostały zwolnione. Dziadek dołączył do swojej rodziny, tak samo z panem Kuleszą i z innym państwem, i z tymi oficerami. Profesor Kot, ówczesny ambasador, w ambasadzie w Kujbyszewie poprosił dziadka, aby był dziadek mężem zaufania. Dziadek organizował różne sprawy. NKWD w większości dobrze o tym wiedziało, śledziło dziadka. Dziadek wielokrotnie kontaktował się właśnie z ambasadą. Później, jak generał Sikorski w Moskwie wynegocjował, że dary mogą być dane dla nas, bo dary nie były przepuszczane dla Polaków, do Rosji, więc okazało się, że dary

były dane właśnie do tych północnych bardziej terenów, gdzie głód panował, gdzie choroby więcej panowały. I dziadek zajmował się między innymi różnymi sprawami organizacyjnymi i również rozdzielaniem darów. Te dary to były, jak wiem z opowieści... Rzadko kiedy był makaron, a tak to jakaś była kasza, jakaś była mąka. W domu nawet mam modlitewnik, który był drukowany w Rosji, przepraszam, w Londynie dla naszych Sybiraków, którzy byli w Rosji w czterdziestym roku. Były modlitewniki, tyle co ja wiem, większe i mniejsze. I mój tato z takim mniejszym modlitewnikiem wrócił do Polski w czterdziestym szóstym roku. Co jeszcze może być bardzo ciekawe. Między innymi, jak w czterdziestym trzecim roku zaaresztowano mojego dziadka, Stanisława Domańskiego i kapitana Niedźwieckiego, najpierw ich dwóch pierwszych, ze względów zwykłych, formalnych. Nie chcieli iść do żadnej armii. Chcieli walczyć o ojczyznę, o wolność, tylko nie chcieli iść do armii żadnej rosyjskiej. Nawet namawiano dziadka do batalionów rosyjskich. Absolutnie nie, dziadek nie wyraził zgody, tak samo i kapitan Niedźwiecki. I od razu byli aresztowani. Po bardzo krótkim czasie jeszcze przyjechano do tego miasteczka i zabrano dwanaście osób. W sumie czternaście. Okazało się, że kilka miesięcy siedzieli, każdy oddzielnie, póki trwało śledztwo. Zapadł wyrok, który trwał trzy dni, w Uljanowsku. I zapadł wyrok na tej całej czternastce: siedem osób dostało najwyższy wymiar kary, przez rozstrzelanie. Inne osoby różne wyroku. Siedemdziesiąt dwie godziny było tylko na apelację, tak że mój ojciec jak wcześniej był ze swoim ojcem w ambasadzie, wiedział, gdzie to jest, więc od razu wsiadł i pojechał do ambasady. I tak się stało, że pojechał, pod spodem miał ten sweterek cerowany z tymi guziczkami z lilijką. Okazało się, że pojechał do pułkownika, którego w tym czasie nie było. Bardzo długa kolejka była interesantów do... Każdy ze swoimi sprawami, na korytarzu. Ojciec mówi: „Stałem, było w środku w ambasadzie ciepło”, zdjął swój płaszcz czy kurtkę starą. Co pamiętam, jak opowiadał, że już wówczas nie miał butów. Buty, to mówi, tak było, że z łyka drzewa były spody, a tutaj się nogi owiżywało, żeby było ciepło, szmatami, innymi. I mówi, że trawą suchą te łyko było do stopy przywiązane i w taki sposób w większości chodzili. Tak że przyjechał właśnie w takich butach do ambasady. I o dziwo, tato mówi, że zrobił wielki błąd, po prostu był w wielkim szoku, jak przechodził dyplomata, nasz polski, którego wcześniej tato w ambasadzie nie widział, w średnim wieku. Opowiadał tak, że w garniturze przedwojennym, granatowym w drobne białe prążki. I mówi, i przechodził ten dyplomata, i wolniutko, i oglądał tę całą kolejkę. I tak patrzył na tych biednych ludzi koczujących w kolejce w różnych sprawach. Jak doszedł do taty, spojrzał na te guziczki harcerskie, to tato mówi tak, że zlustrował od góry do dołu te guziczki, ze dwa-trzy razy od góry do dołu i oczy miał pełne łez. Zatrzymał się przy tacie, spytał: „Czy jesteś sam?”. „Tak jestem sam, proszę pana”. „A w jakiej sprawie?”. „W sprawie czternastu osób, którzy są uwięzieni przez NKWD, naszych Polaków i siedem osób, wyrok śmierci”. Tato miał przy sobie oryginalny wyrok NKWD i pokazał. I mówi: „Ja jestem do pułkownika...”. I bodajże takie nazwisko było: Wolgoski, Woligoski, takie jakieś, takie podobne było, polskie nazwisko. I ten dyplomata odpowiedział tacie, że tego pułkownika nie ma w tym czasie, że dopiero wróci za kilka dni. Tato mówi: „To niedobrze, bo już może być po wykonaniu wyroku, bo siedemdziesiąt tylko dwie godziny na apelację”. Wziął od taty ten wyrok, mówi: „Poczekaj chwilę”. Poszedł i wrócił z innym pułkownikiem, i tatę wzięto obok, do innego pokoju i dyplomata mówi: „I teraz wszystko opowiadaj pułkownikowi, a pułkownik wszystko zapisze”. I tak się stało, że na prośby taty między innymi... Chyba to była najbardziej idąca w konsekwencje prośba, bo u naszej dyplomacji... Bo tyle co jeszcze wiem, to jeszcze i skazańcy sami pisali prośby. To tyle wiem. I wówczas cudem zostały te osoby, które miały wyrok śmierci, mieli zamienione na mniejsze wyroki. I tak się stało, że mój dziadek miał zamieniony wyrok na piętnaście lat pozbawienia wolności za szpiegostwo alianckie i między innymi za to, że brał udział w walkach przeciwko Armii Czerwonej. To nawet jest w tym wyroku zapisane. Dziadek mój był odznaczony krzyżem walecznych. Tyle co wiem z opowieści,

nie umiem w tej chwili powiedzieć. Sama ja dokładnie pamiętam, bo już miałam dziesięć lat, jak na pogrzebie dziadka, że na poduszce było kilka odznaczeń, ale czy trzy, czy cztery, nie umiem powiedzieć jakie. Ten krzyż walecznych to wiem, na pewno tak. Z kolei, nie wiem, gdzie w tej chwili są te odznaczenia, bo to był trudny okres czasu. Mój tato na pewno tego nie dostał, bo to by było wszystko przetrzymane. Nie mam pojęcia. I tak się stało, że zostali ułaskawieni. Ale to nie było tak bardzo proste ze względu na to, że nie powiadomiono te osoby, że są ułaskawione. Dziadek mój po wielu innych historycznych swoich dziejach osobistych, to wrócił jesienią pięćdziesiątego piątego roku do Polski. Wróciło czterdzieści kilka osób, na ocieplenie stosunków polsko-radzieckich w tym czasie. I takim cudem znalazł się mój dziadek na tej liście. I przyjechał do Warszawy. Ale w dokumentach rosyjskich, które mam, to było, że ma jechać do Płońska, bo wiedzieli, że babcia i dzieci pojechały do Płońska, do swojego brata, w najtrudniejszym okresie, żeby przeżyć na gospodarce. Żeby rodzina umiała sobie przeżyć. I takim cudem dziadek, jeśli dziadek nie wiedział... Jak wrócił do Polski, to opowiadał, że każde stuknięcie w celi śmierci, jak później siedział, każde stuknięcie, to było przeżegnanie się krzyżem świętym i krótka modlitwa, że już idzie na wykonanie wyroku. Dopiero po kilku miesiącach, bodajże dziewięć czy jedenaście miesięcy – to jest nawet w dokumentach, bo tak się złożyło na te czasy, że mam bardzo dużo stron skserowanych z Rembertowa, za archiwum wojskowym, że tam są i zdjęcia dziadka, i odciski palców, i wszystkie lata dokładnie opisane. Tak jak dziadek pisał, że: „Ja, graždannik polski, ja nie podlegam prawu rosyjskiemu, że proszę mnie do polskiego więzienia, niech mnie polskie władze sądzą”. To pisało zawsze i pisze w tych dokumentach, że odpowiedzi na żałobu Stanisława Domańskiego, że nie nada, bo tak i tak, i tak, i tak. I za każdym razem pisane było co innego. W każdym bądź razie, że na wyroku śmierci dziadka, na tym NKWD, to pisze, że obywatel polski, znaczy się, narodowość polska, a obywatel ZSRR. A dziadek nigdy nie był. To chyba ten pakt Ribbentrop i Mołotow od razu te tereny wschodnie były, że są właśnie w taki sposób. Bo wiem, przez całe życie rodzina opowiadała i dziadek, że nigdy nie zgodził się na podpisanie obywatelstwa rosyjskiego. I w dokumentach wszystkich końcowych, które mam właśnie z tych archiwów wojskowych, to pisze, że nigdy nie podpisał właśnie obywatelstwa rosyjskiego. Następna sprawa. Jak dziadek wrócił, to miał braci jeszcze dwóch w Warszawie i natenczas jak wrócił. Ale jeszcze co ciekawe, szanowni państwo, mogę opowiedzieć, też bardzo ciekawy jeszcze inny się w to wplata wątek. Jak dziadek siedział w więzieniu, później jak go z celi tej śmierci zwolnili, w ciasnej celi siedział, że tam siedzieli z dwadzieścia osób. I tak się okazało, tylko nie wiemy nazwiska, że siedział biskup ormiański, katolik. I mówi, że się bardzo modlił. I jak dziadek się modlił, po jakimś czasie biskup podszedł i mówi tak: „Stanisław, ja się będę za ciebie modlił, żebyś ty wrócił do Polski”. Rodzina nie wiedziała, czy dziadek żyje, bo wszystkie po II wojnie światowej, wszystkie pisanie do szwedzkiego Czerwonego Krzyża, do polskiego, do MSW, wszędzie. I powiedziano, gdzie dziadka, w którym więzieniu zostawiono. Zawsze były odpowiedzi, że nie było takiego i nie ma. Że nie było takiego i nie ma. I o dziwo, i to taki splot też historii, że jak się urodziła moja starsza siostra, Maria, i ja już byłam urodzona, raptem przyszło do nas i wiedzieli, że mój tato jest zamieszkały w Myszyńcu, że przyszło do Myszyńca, że jest taki, znajduje się i przyjedzie do Warszawy w tym i w tym czasie. Dziadek już nie miał siły, nie mógł pracować tam w tych łagrach. Druga sprawa. W okresie po Powstaniu Warszawskim przywieziono wielu Powstańców Warszawskich, w młodym wieku. To dziadek opowiadał i rodzina to przekazywała. I tak się stało, że jak to młodzi, butni, dziadek zawsze opowiadał: „To byli tak jak moje dzieci, tak jak moje dzieci w tym samym wieku”. To mówi: „To ja ich wyciszałem, żeby przeżyli, żeby jak najwięcej ich przeżyło. To później mi się oni w ten sposób odwzięczyli, że jak ja już nie mogłem...”. Do jednego posiłku dziennie, do kotła, każdy już sobie czerpał czy menażką, czy jakąś miską, czy jakąś puszką starą. Ile naczepnął, tyle jedzenia, takiej zupy miał. Dziadek jak już nie miał siły naczepnąć,

to ci warszawiacy, ci warszawiacy dzielili się z dziadkiem, albo któryś z pierwszych jak naczerpnął, od razu: „Panie Romański, miskę!” i biegł. Zdążył, to zdążył, jak nie, to się z dziadkiem dzielili. I takie było później powrót. Dziadek jak mówi: „Wezwano mnie do biura więziennictwa. Patrzę, jest dwóch enkawudzistów, bo poznałem, w skórach poubierani i mówią: »Domański, ty ujeżdżasz w Polszu«”. Dziadek mówi tak: „Hoo, od razu sobie pomyślałem – mówi – nie mam już siły pracować, to będzie tak jak z poprzednikami moimi. Kto nie miał siły, szedł do innego baraku, ewentualnie już tylko na narach był wyniesiony za barak, i już tam o niego nikt nie dbał”. Tak się wszystko odbywało. Więc dziadek mówi: „Aha, pewnie mnie już gdzieś chcą wywieźć – mówi – czy kulkę w głowę, bo ja już nie pracuję, żeby darmozjada jednego nie było”. Dosłownie. Ale mówi: „W pewnym momencie enkawudzista nakazuje magazynierce: dla Domańskiego pierwszy sort ubrania. Co się stało? „Przynieśli mi nową czapkę – mówi – taką z kufajki, tak jak było robocze ubranie. Spodnie takie właśnie, ocieplane i taką bluzę ocieplaną”. I mówi tak: „I o dziwo, dostaję bilet kredytowy do Warszawy Głównej”. Bilet kredytowy. Mówi: „Więc coś jest na rzeczy grane”. Dziadek mówi tak: „To ja jeszcze zdążyłem spytać, czy mogę jeszcze wrócić do kolegów się w takim czasie pożegnać”. I pozwolono, coś około godziny temu dziadkowi pozwolono. Jak dziadek ten czas wykorzystał? Bardzo mądrze, jako były wojskowy. Było tak, że jakąś tam przełęcz kuli dla pociągu ci więźniowie i nieraz był dynamit, jak dziadek opowiadał. I często był dynamit z Wielkiej Brytanii. Wyciągali sobie z tych małych skrzyneczek, wyciągali sobie nierdzewne takie spinacze i z tego sobie kręcili łańcuszki i krzyżyki sobie więźniowie robili. A mówi: „Nieraz udało się z tej skrzyneczki kawałek szarego papieru przynieść, się przemycić do swojej celi”. Więc mówi dziadek tak: „Ktoś miał jeden, drugi, kopiowy ołówek, to się ślinoło i pisało”. I dziadek mówi tak: „Najbliższych kolegów, których znałem najbliżej i najdłużej z nimi siedziałem, to się w Polsce, już się adresy znało na pamięć, bo my dla pokrzepienia ducha to żeśmy tylko sobie opowiadali o rodzinie swojej, gdzie została, kto został, jak został – mówi tak – a niektórych nie znałem na pamięć, więc powiedziałem tak: zobaczcie, mam bilet, piszcie swoje adresy. Wy nie musicie, bo ja znam”. Papieru było bardzo mało, więc nie wszystkie adresy zdążył dziadek spisać. Więc było później tak, że dziadek w jednej sekundzie podniósł koszulę do góry i mówi: „Piszcie mnie po ciele, na brzuchu, na plecach, na klatce piersiowej, swoje adresy”. I tak się stało. I słuchajcie państwo, dziadek mówi, że jechał dwoma pociągami do granicy. Jechał dwoma pociągami. Mówi: „Od razu wiedziałem, że jedzie za mną stróż”. Mówi: „Nie zwracałem na niego uwagi, nie dawałem nic znać po sobie, że ja wiem, że ktoś ze mną jedzie, tylko – mówi – gdzie ta granica?”. Teren Polski przed wojną był inny, że już tu są tereny polskie, a jeszcze nie ma granicy. „Co się dzieje? Czy wcale Polski nie ma?” Dziadek już różnie myślał. I mówi: „Podjechał do...”. Jak już pociąg zbliżał się do Białej Podlaskiej, to z kolei... Na przejście graniczne, to już wcześniej podszedł ten Rosjanin i dziadka zrewidował. Widział krzyżyk, widział z chleba różaniec, to zostawił, natomiast zabrał wszystkie kartki z adresami. To tylko dziadek to, co miał w głowie i to, co miał napisane na ciele. I tak się stało, że nawet moja mama jako synowa, to z dziadka spisywała. Trudny okres czasu, pięćdziesiąte lata. Wiele listów było na te adresy pisane, powiadamiane w taki sposób, że moja ciocia, która nawet tu mieszkała, w Warszawie, później w Sulejówku, to z kolei mówi, że rzucali bez nadawcy na Poczta Główną, żeby po prostu nie wiedzieli skąd, żeby te listy doszły. Natomiast mój tato jak jeździł jako kierownik pociągu, to wielokrotnie musiał kłamać, zmyślać, bo na północ Polski, gdzieś Kołobrzeg, Koszalin, w te rejony, to wiele razy jeździł. I to w taki sposób, jak mieszkał w Myszynie, tak jak wszędzie, tata zdawał sobie sprawę, było milicja, tyle ormowców różnych było, jeden o drugim wszystko wiedział. A mój tata nieraz i o drugiej w nocy jechał. Babcia wówczas mieszkała w Płońsku jeszcze. To tata opowiadał tak, mówi: „To ja jechałem, mówiłem, że matka chora”. Wziął sobie dwa dyżury, zrezygnował z dwóch służb i: „Jadę do mamy posiedzieć, bo nie ma z mamą komu. A wiecie, ja syn, to do matki mnie

ciągnie". I wszyscy myśleli, że tato jedzie opiekować na dwa dni czy na trzy dni swoją matką. A się okazało, że tata do Warszawy, a z Warszawy robił już zupełnie inny kierunek, żeby powiadomić. Natomiast bardzo ważna, ciekawa jest sprawa... Może jeszcze skończę tę kwestię. Dziadek jak dojechał do granicy, to opowiadał, że nasz oficer, który dziadka kontrolował, dziadek był zdezorientowany i się pyta: „Panie pułkowniku, czy to już jest Polska?”. „Tak, Polska”. „Czy mogę się przywitać z ojczyzną, z Polską. Stanąć ułamek sekundy na polskiej ziemi, bo nie byłem prawie szesnaście lat”. Oficer pozwolił. Mówi: „To tylko ułamki sekund”. Dziadek ukląkł, ucałował ziemię, wrócił do wagonu. To mimo że był w ubraniu, takim roboczym, oficer oddał dziadkowi honory, jak się przywitał z ojczyzną. I jeszcze taki był bardzo wzruszający moment, jak ci właśnie warszawiacy, jak ci właśnie Powstańcy, jak dziadka żegnali, jak te adresy pisali. To ze łzami w oczach, wiem, że dziękowali mojemu dziadkowi, że był dla nich tak jak ojciec. Nawet jeden z nich, najstarszy taki, najmądrzejszy, to mówi, że ukląkł przed dziadkiem i mówi: „Panie Domański, pan jedzie do Polski, my zostajemy tutaj bez pana. Proszę dać pobłogosławić”. I dziadek, jako zwykły człowiek, błogosławił ich na tę drogę. I kazali Powstańcy Polskę od nich pozdrowić, i ukochaną Warszawę. To tyle co wiem, kilkadziesiąt razy to słyszałam i tyle co pamiętam, to tak państwu to opowiadam. Dziadek przyjechał do Warszawy, poszedł do jednego brata. A jeszcze był taki moment, jak miał oficer na granicy oficer dziadka te dokumenty i ten bilet kredytowy, to dziadek się pyta: „Panie oficerze, jak teraz jest w Polsce?”. Oficer nie odpowiedział ani jednego słowa, bo był z lejtnantem, z młodszym stopniem, oddając dziadkowi dokumenty, to tylko bardzo głęboko spojrzął bez słowa dziadkowi w oczy. Dziadek od razu wiedział, że nie wraca do tej Polski, o którą walczył, że u nas w Polsce jest na pewno dużo gorzej, inaczej, skoro oficer nawet jednego słowa nie odpowiedział. Przyjechał do Warszawy, poszedł do swojego brata. Akurat go w domu nie zastał. Poszedł w drugie miejsce, nie zastał, więc poszedł do swojej ciotecznej siostry, która z domu też była Domańska, na ulicy Białoostockiej, do cioci Dziekońskiej później, jak wyszła za mąż. Poszedł do niej. W pięćdziesiątym piątym roku ona już miała trójkę swoich synów, dzieci. I całe szczęście, bo była młodą kobietą, całe szczęście, że była sąsiadką z dołu, pani Borkowska, starsza pani. I ona mówi tak: „Pani Borkowska, to jest ten mój brat, Stasiu, wróciłeś”. Uplakała się, przywitała. I mówi: „Pani Borkowska, to jest ten brat, co ja tyle lat opowiadałam, że został w Rosji”. I jak ciocia gotowała biały barszcz, kiełbasę miała, to mówi: „Poczekaj Stasiu, zaraz się dogotowujemy, to ci dam zjeść, to chociaż ciepłego z podróży zjesz”. A ta pani Borkowska mówi tak: „Dziekońska, co ty chcesz zrobić temu człowiekowi? Chcesz, żeby zaraz skrętu kiszki dostał i żeby zaraz umarł – mówi – absolutnie, nie zabielać mu śmietanką, tylko taki goły barszczyk, z chlebem jeszcze wczorajszym albo przedwczorajszym”. I tak się stało. I dziadek dopiero powolutku, powolutku zjadł to. I później jak pojechał w drugie miejsce, pytał się i mówi tak, o swojej żonie, że jest, w Płońsku mieszka. I dziadek mówi tak: „Płońsk widziałem kilkanaście lat temu, prawie dwadzieścia lat temu, jeszcze sprzed wojny – więc mówi – jadę w pociągu, byle jak ubrany, tak jak z łagrów przyjechałem, jadę do tego Płońska”. I bodajże chyba mówił, że na Dworcu, chyba tutaj Głównym, wsiadał. I mówi tak: ludzie niektórzy tak dziwnie na dziadka patrzyli, jako na więźnia. Ale dziadek mówi: „Ja zacząłem rozmawiać z ludźmi w wagonie”, jak do Płońska, i o dziwo, różni są wszędzie ludzie. Niektórzy się odsuwali. A była dwudziestoparoletnia dziewczyna – jak dziadek opowiadał, to mówi, wyjęła kanapkę, z dziadkiem się kanapką podzieliła. I dziadek się pytał: „Czy pani również jedzie do Płońska?”. A ona powiedziała, że tak. Mówi: „Ciekawe, czy jest biuro meldunkowe w tym samym miejscu co w okresie przedwojennym”. „Niech się pan, proszę pana, nie martwi, ja pana zaprowadzę na miejsce, tam gdzie panu potrzeba”. Zaprowadziła dziadka do urzędu, do biura meldunkowego. Okazało się, że kolejka była krótka. Tak ta dziewczyna była polska nasza rezolutna, odsunęła wszystkich: „Ten pan wrócił z Rosji, szuka swojej rodziny”, poza kolejnością, żeby załatwili. I tak się stało. Z kolei

dziadek sprawdził, że tylko jest w Płońsku zameldowana babcia i najstarsza córka. Najmłodsza, Hania, to dziadek wiedział, bo w Rosji było małżeństwo z jednym synem, spod samego Sanoka. No już oni się w Rosji pokochali z sobą razem i jak tutaj wrócili, to bodajże za ileś miesięcy wzięli ślub i już ciocia pojechała tam pod Sanok. Mieszkała z Marciniakiem właśnie, z tym swoim mężem i z teściami razem mieszkali. Ta ciocia do końca swojego życia mieszkała w Sanoku później, do końca swojego życia, a niedawno zmarła. Z kolei ojciec... Dziadek od razu powiedział: „Od razu pomyślałem, że coś jest z Zygmuntem nie tak, bo Zygmunt był taki bardzo hardy, bardzo twardy i na wiele rzeczy innym osobom nie pozwalał”. Miał przeczucie, miał przeczucie. Ojciec cudem wrócił do Polski i to jest oddzielny wątek, który państwu jeszcze opowiem. Ojciec, również z babcią... Było tak, że jak dziadek był więziony, ojciec mówił, że jeździł jako kierowca, na bazie w Melekes. Mówi: „Nie cierpiałem tych Rosjan”. A jeden Rosjanin ojca prowokował mojego, Zygmunta, ojca prowokował. Z kolei babcia, też świadoma wielu rzeczy, mówi: „Zygmunt, pamiętaj, nie daj się sprowokować”. „Mamo, nie martw się, już oni mnie tyle dni prowokują, a szczególnie jeden Rosjanin na tej bazie – mówi – więc ja się nie dam sprowokować”. I niestety wiedział, jak ojciec nie reagował na różne prowokacje, wiedział, co zrobić. I tato opowiadał całe życie. Poszedł z wiadrzem wody lać wodę do chłodnicy, bo mówi: „Od piątej godziny trzeba było już być na bazie i rozpoczynali swoją pracę”. I mówi: „Podszedł, tak na ubocze, do mnie, ten sam Rosjanin i zaczął bluźnić na Polskę, na naszą ojczyznę”. Ojciec mówi: „Nie odzywałem się, ale nie wytrzymałem. Skończyłem wlewać tę wodę, od razu tym wiadrzem dostał w łeb – dosłownie, mówi – i od razu padł”. Nie zabił jego, tylko chyba przymroczył czy pod siłą wiadra się przewrócił. No i od razu, drugi polski bandyta. Ojciec w więzieniu i drugi syn polski bandyta. I ojciec już wiedział, że już będzie po nim, jak tak zareagował. Enkawudzistów dwóch było. To mówi ojciec: „No, nic z tego – mówi – ja wiem, że to już są moje ostatnie dni policzne”. I mówi, że tam taki był karzec, że ławka jakaś tam stała. I tak jak tato opowiadał: „Od razu mi się przypomniało, jak żeśmy na Syberii i wcześniej jak czytałem »Krzyżaków« Sienkiewicza, różne te nasze historyczne książki – mówi – złapałem tę ławkę i nie dałem się złapać i wyciągnąć. Wszedłem do rogu, żeby nie mogli mnie spod tyłu podejść”. Do rogu. „I ich dwóch tą ławką przewróciłem – mówi – skąd miałem siłę, nie mam wcale pojęcia – mówi – ale w takim stresie tak zrobiłem”. Okazało się, że zadzwonili, tam w Melekesie i przyjechało NKWD, ojca zbiło do nieprzytomności. I ojciec mówi tak: „Ręce do tyłu związane”, wodą był polewany na tych zeznaniach. I znów, i było bicie. I dalej siedział w tym karcu, i czekał na transport, jak przyjadą po ojca, żeby ojca do więzienia zabrać, mojego ojca. Więc się okazało, że te karce, tak jak tata opowiadał, bo tam wiele różnych było opowieści, okienka miały wysoko. I okienko było wysoko. I mówi, kolega jeden, z Warszawy, drugi tam z Łomżyńskiego, nie mogli znieść, że Zygmunta zamknęli. I strażnik stał już postawiony, NKWD gdzieś tam poszło do biura. I mówi, jeden drugiego podsadził, ten z Warszawy zobaczył – bo przyjeżdżał do nas, do Myszyńca, póki żył ten pan, do końca się z ojcem kolegowali bardzo – i powiedział, że tak: ręce miał sine, do tyłu związane. Leżał na ziemi, zlany całą wodą. Ręce sine. To oni, co mieli... I wiem, że ktoś miał jakieś złoto. Przekupili tego strażnika i ten pan z Warszawy wszedł i: „Choć – mówi – ja wiem, że nie możemy nic zrobić, ale niech mnie – do tego strażnika – niech mnie pan wypuści – dali mu łapówkę – ja mu chcę tylko ręce poluzować”, żeby te ręce, żeby ta krew dopływała. I tak było. Ale ojciec mówi, że tego nie pamięta, że jeszcze w tym czasie był nieprzytomny. Do sprawy, jak siedział w więzieniu, to mówi, że też na jakiejś dużej celi, w dużej celi był. I różne maści narodowe były w tej celi. Między innymi był jeden, mówi, z Kazachstanu. I mówi, nie katolik nasz, normalnie muzułmanin, ale coś jemu ta władza radziecka też mu za uszami, jak to się mówi, leżała źle. A ojciec mówi: „Ja w kąciku byłem”. I w pewnym momencie ojciec... Tamten się dowiedział, a on był całym hersztem w tym więzieniu. Dowiedział się, że to jest Polak, który tak z Rosjanami walczył, że jego ojciec

również jest osądzony i jest w więzieniu. Tak się stało, że od razu, mówi, zrzucił z pryczy kogoś tam przy sobie i Polaka kazał, mojego ojca, mieć przy sobie. To takie są fakty. I mówi: „W pewnym momencie...”. A najmłodsza ojca siostra... I mówi tak: „Jak dwa razy podali mnie paczkę, to ja się równo z nim dzieliłem – mówi – to nie były luksusy, ale czy kawałek chleba, czy kawałeczek zdobyty cudem słoninki, to – mówi – ja się z nim zawsze równo dzieliłem. I on mnie nie dał już – mówi – nic zrobić, po prostu mnie trzymał pod swoją pieczę”. Tak się stało, że ojca młodsza siostra miała czternaście lat skończone, piętnasty rok i jak wyjechali do Rosji, to w Melekesie zaczęła pracować przy Żydówce, lekarce. Przy polskiej Żydówce, lekarce i nauczyła się pielęgniarstwa, i tam wiele lat tak przepracowała. Tak się złożyło, że tej Żydówki mąż był prawnikiem, no i miał kontakt z różnymi ludźmi. I babcia... Ojciec był w więzieniu, ale... I starsza córka, uradzili, że nic, tylko do tej lekarki, bo jak ona nie pomoże, to nikt nie pomoże. I ta najmłodsza siostra poszła do niej i mówi: „Proszę panią, ja chcę z panią porozmawiać – w takiej i w takiej sprawie – bo brata zamknęli”, a już wiedziała, że i ojciec zamknięty, osądzony. Więc ona kazała o którejś godzinie przyjść do domu, tam do niej. I mówi: „Jak będzie mąż i w pewnym momencie mów mężowi wszystko”. I ta ciocia jak opowiadała, bo ta ciocia żyła do dziewięćdziesięciu dwóch lat, ona bardzo często to nam wspominała również, to opowiadała, że w pewnym momencie przerwała lekarka, Żydówka i powiedziała tak: „Masz tę sprawę załatwić”. I znów jest, chyba Pan Bóg nad tym wszystkim czuwał. I szanowni państwo, jak załatwił? Prawnik załatwił z lekarzem, Żydem, który był psychiatrą. Skąd przywieźli, bo granica jakiś czas była otwarta, do Polski, że nawet mieli z pieczętkami zaświadczenie ojca, że się leczył w Tworkach koło Białegostoku, właśnie na głowę że się leczył. A to jest w ogóle nieprawda, on tam nigdy nie był. Dokumenty były sprefabrykowane, no i pod tym... Mąż tej lekarki z innymi prawnikami pisali pisma, że trzeba jego, Zygmunta Domańskiego, wziąć na badanie, bo on jest niepoczytalny. Na badanie. Że oni... I jak jeszcze świadomie, bo tata opowiadał, jak tamten lekarz opowiadał: „Tydzień czasu, a maksymalnie dwa tygodnie. My go wam oddamy”. I szanowni państwo, jak tato opowiadał tyle razy, że mówi tak: „Jak już przychodził do mnie ten lekarz, Żyd, w tym miejscu, gdzie oni mnie wyrwali – bo NKWD się co jakiś czas się dowiadywało, czy już mogą go zabrać do tego więzienia, ojca, to mówi – zawsze przychodził Żyd i dawał mi leki: »Zygmunt, łykaj to«. To ja już później nie pytałem, bo wiedziałem, że NKWD przyjeżdża. To leki – mówi – jak łyknałem, to tylko tak przez mgłę pamiętałem, co się działo, nie byłem świadomy wszystkiego”. Tak że takim cudem ojca uratowali, że NKWD już za jakiś okres czasu dało spokój temu ojcu i po jakimś czasie ojciec wyszedł. Już nie pamiętam, po jakim czasie ojciec wyszedł z tego właśnie szpitala, już go do więzienia nie wzięli, bo dokumenty mu zrobili, że jest chory umysłowo itd. I ojciec wrócił właśnie do tego Melekesu, do tych sióstr swoich i do matki wrócił. I tak się stało właśnie, że w pewnym momencie kontakt z ich ojcem w więzieniu się zatracił. Najstarsza siostra często jeździła i też, tak jak mogła, paczkę uszykowała. Bardzo tam były drobne sprawy, ale zawsze kawałeczek kartki jakiś otówkiem był pisany do ojca i ojciec zawsze odpisywał. A było tak, że wiele miesięcy nie było żadnego kontaktu. Później okazało się, że kontakt był nawiązany z powrotem. I jak w pewnym momencie ta ciocia, Henia Domańska, która mieszkała do końca życia w Sulejówku, pojechała, to mówi: „Paczka była oddana, list, który ja napisałam do ojca, krótki, był oddany bez słowa, nic nie powiedzieli, to ja już myślałam, że ojciec nie żyje, że ojciec jest stracony. I jak ja wróciłam – mówi – do domu naszego tam, na Syberii, to – mówi – nie wiem, jak ja wróciłam”. Zapłakana była bardzo. Później się okazało, że po iluś miesiącach znów ten kontakt się nawiązał. A jeszcze Rosjanie, którzy mieszkali, którzy sprzyjali Polakom, to powiedzieli tak: „Nie wiecie, jak trzeba zrobić. Do więzienia to się szykuje dwie takie same paczki: jedną dla kierownika i jedną dla więźnia”. I szanowni państwo, i tak się stało, że jak znów paczki były dwie jednakowe, bardzo skromne, szykowane, jedno dla kierownictwa więzienia, drugą tu, od razu kontakt był z dziadkiem.

I tak do końca, póki nie wyjechali w kwietniu czterdziestego szóstego roku, taki kontakt w taki sposób mieli. I nawet ten kontakt, jak już można było wyjeżdżać, były te komisje dla Polaków i dla Żydów do repatriacji, do Polski... Babcia nie chciała wyjechać, nie chciała dziadka zostawić samego w Rosji. A dziadek na kartce napisał: „Masz natychmiast, jak się nadarzy okazja, wyjechać do kraju. Ja sobie dam radę, a wy jedźcie natychmiast. A jak nie, to chociaż coraz bliżej granicy”. Więc babcia się zdecydowała i wyjechali. Wyjechali, przyjechali właśnie do tego brata, tak jak mówiłam. I dziadek jak zobaczył w Płońsku, po powrocie do Polski, jak zobaczył z kolei, że jest adres najstarszej córki i babci, poszedł pod ten adres. A tam były dwie kamienice i w środku oficyna, i babcia w tej jednej kamienicy na parterze pokój z kuchnią wynajmowała u wdowy, która miała dwóch synów. A ta pani, wdowa, nawet mam ten adres, ta pani dorabiała sobie w taki sposób w tych pięćdziesiątych latach, że gotowała zupy. Jak były przerwy obiadowe, to przychodzili do niej ludzie na zupy i ona tak sobie, tak się wspierała. I słuchajcie państwo, jak dziadek wrócił z Rosji, to jak babcia tam mieszkała już kilka lat, to z kolei też sobie z tą gospodynią opowiadały takie rzeczy, że męża mam w Rosji, w więzieniu itd. I pokazywane były zdjęcia. I szanowni państwo, jak dziadek wszedł pod ten adres i się pyta: „Czy tu zamieszkuje u pani – gdzie, która gospodyni – czy zamieszkuje Zofia Domańska i Henryka Domańska?”. „Tak. Pani Zofia jest – mówi, bo to była jesień, wrzesień – pani Zofia jest – mówi – u swojego brata pod Płońskiem na wykopkach, pomaga bratu w gospodarstwie. A pani Henia była na zupie”, bo pracowała PSS-ach. Bo ciocia przed wojną skończyła trzy klasy w Łomży już... Handlówki, szkoły i gdzieś tam jakąś pracę najłabszą miała w PSS-ach, w Płońsku. Mówi: „Pani Henia była, jadła obiad i w tej chwili poszła do pracy. A co pan od nich chce?”. I mówi: „Jak powiedziała te słowa: »co pan od nich chce?«, od razu powiedziała: »O mój Boże, pan Domański wrócił!«”, jak tak się bardziej przyjrzała dziadkowi. A on mówi: „Tak, jestem Domański i jestem mężem pani Zofii”. Nalała mu talerz zupy. „Niech pan siada”. Zostawiła go tak w domu, „A ja biegnę po panią Henię do pracy”. I taki fakt się stał, że jak pobiegła... A już wszyscy myśleli, że dziadek nie żyje. Że jak pobiegła do pracy, jak ciocia to wielokrotnie mi opowiadała, mówi: „Jak ta pani powiedziała, że: »Panno Heniu, tata wrócił!«, to – mówi – to ja dostałam jakiegoś szoku, że to tak nie może być”. I nie zwolniła się nic, tylko z tej pracy, z za tego biurka, biegiem do taty. I dwie koleżanki widziały, co się z tą moją ciocią dzieje, te dwie koleżanki za nią. I jak przybiegły do tej kamienicy, jak zobaczyła ojca, rzuciła się ojcu na szyję i straciła przytomność. I potem te koleżanki powiedziały: „Henia, my ciebie usprawiedliwimy”. I później, słuchajcie państwo, że te koleżanki i jeszcze tam chyba ze dwie inne koleżanki w tym trudnym okresie czasu, co mogły, to zorganizowały nawet gościny na przyjazd mojego dziadka, że dziadek po tych prawie szesnastu latach wrócił z Rosji. To mojej cioci koleżanki z PSS-ów z Płońska tak zrobiły. I natomiast, jak teraz powiadomić babcię. A jeszcze się tak złożyło, że babci brat miał syna w szpitalu, w Płońsku, z którym było bardzo ciężko, kilkunastoletniego syna. I mówi tak, że jak biegła koleżanka, bo to było sześć kilometrów od Płońska, że koleżanka szła piechotą na te pole i jak zobaczyła babcię, to krzyczała: „Pani Domańska! Pani Domańska!”, bo znała moją babcię. Babcia myślała, że ten chłopiec umarł w szpitalu, że powie... Że córka przysłała koleżankę. Okazało się, że powiedziała, że pan Domański wrócił. To szanowni państwo, to babcia nawet nie umyła się, jak miała motykę, jak rzuciła, jak była boso, tak boso biegła do Płońska. I to było takie przywitanie właśnie. Później tak się stało, że... Dziadek odpoczął, nie wiem, z półtora roku, czy jak. Napisał o pracę i dostał pracę w nadleśnictwie Płońsk i tam na tej leśniczówce koło Nasielska, w Cieksynie, to był w „Aleksandrii”, na leśniczówce. I tam zmarł, właśnie w tej leśniczówce właśnie dziadek zmarł. Pamiętam jak dzisiaj jego pogrzeb. Ja już byłam taką dziewczynką, która miała ponad dziesięć lat. Bardzo dużo było leśników, bardzo piękne było pożegnanie proboszcza, mimo że to w sześćdziesiątym trzecim roku. Dziadek był pochowany pod wielkim, dużym dębem na cmentarzu, to jeszcze proboszcz jak żegnał go, jako byłego wojsko-

wego i byłego Sybiraka, odznaczonego, to w pewnym momencie... Ja zapamiętałam ten koniec, jak powiedział: „Niech jemu te polskie dęby i polskie drzewa, niech mu szumią”. Na koniec pożegnania dziadka. Taka była dyskusja... Takie było pożegnanie. Ale jeszcze co mogę ciekawego opowiedzieć. Jak wyjeżdżała moja rodzina bez dziadka. Pojechali na zgrupowanie, mieli jeden bocheneczek chleba mały, akurat całą drogę nie jedli. Przyjechali do ambasady, tam były różne komisje, w różnych pokojach. A tyle co wiem, bo to kilka razy było opowiadane, że w takiej komisji, w każdej komisji ktoś był z NKWD. Polacy, to mówi, w ambasadzie, tylko była dyplomacja, tylko była ta nasza polska misja wojskowa i tylko był woźny, w ambasadzie w Kujbyszewie, Polak, a to wszystko byli Żydzi i Rosjanie, w tych komisjach. Więc mówi tak: „Babcia od razu dostała na zgrupowanie, dwie siostry od razu na wyjazd dostały, a ojca komisja jedna, druga, tego dnia, jak w jednej kolejce stanął w drugiej, ojca, komisja absolutnie nie chciała wypuścić”. Pamiętam, jak tato wielokrotnie to zaznaczał. „Byłem tak zdesperowany, że wiedziałem, że już jest po mnie, że ja bez rodziny sobie nie dam całkowicie rady”. Ale już one musiały jechać na zgrupowanie. Matka ojca, czyli moja babcia, wyjęła ten nieduży bochenek chleba, okrążyła, dała ojcu, ojciec schował za pazuchę sobie, za jakąś kurtkę. I ojciec tak mówi: „Wiedziałem, że one pojechały głodno. Tak się złożyło, że jak pojechały głodno, raz dzień nie na tych zgrupowaniach dawano jeść, to – mówi – tego dnia już było dawane jeść, to one dopiero jeszcze na następny dzień jadły”, się po czasie okazało. I znów jest tak ciekawa historia, że ojciec mówi, codziennie próbował do innej komisji. A powiedział: „Mamo, nie martw się, będę próbował, aż dostanę te pozwolenie na wyjazd”. One otrzymały pozwolenie na wyjazd 4 marca czterdziestego szóstego roku, a ojciec dostał 12 marca. Osiem dni koczował pod ambasadą. I to jest nawet, mam oryginalne, to wszystko nagrane. I w środku tych wąskich dokumentów, to – u cioci na przykład – starszej siostry, to pisze, że wyjeżdża z rodziną. A u ojca czy wyjeżdża z rodziną, w środku tego dokumentu pisze, że nie, czyli wyjeżdżał sam. I też ciekawy jest przypadek, że ojciec mówi tak: „W nocy zimno. Tu nie dostałem, tu nie dostałem. W jednej kolejce, w drugiej, nic z tego – mówi – wolę umrzeć na schodach ambasady, jak gdzieś się ruszyć, bo i tak sobie nie dam rady”. Okazało się, że jeden starszy Polak również nocował z ojcem, tylko pokastywał, chory. Było widać, że jakiś wojskowy. Ojciec mówi: „Nie wiem, jak się nazywał, ale tak jak przyszła noc, to myśmy, my w kuckach na tym ganku, on z jednej strony, ja z drugiej. Ja mówiłem: »Proszę pana, zbliżymy się do siebie chociaż plecami, żebyśmy się ogrzeli«”. „Nie zbliżaj się do mnie”. Ale starszy człowiek był mądrzejszy i wiedział, że ma gruźlicę, że już są jego chwile policzone. I którejś nocy, rano już się nie odezwał właśnie. Mówi, a często w nocy siedzieli sobie w kucki, sobie opowiadali różne fakty i różne historyczne rzeczy. I mówi, ojciec mówi, że: „Dla mnie to była tragedia, jak ten człowiek na tych schodach w nocy, nad ranem zmarł. Dla mnie to była tragedia, bo ja wiedziałem, że taka będzie moja kolej teraz, że to na mnie przyjdzie”. Mówi tak: „Codziennie po kawałku tego chlebka zza pazuchy tamał i mówi: „Tak mnie się ciężko łykało, bo zawsze myślałem, że one głodne pojechały”. Mówi: „I gdzieś obok studnia była”, to ze studni tylko wodą popijał. I tak, żeby ten chlebek jak najdłużej ojcowi starczył. I tak się stało, że pracownicy, czyli ci enkawudziści, którzy byli w komisjach i z kolei polscy Żydzi, którzy wychodzili, to zawsze tak na tego ojca patrzyli. I młoda Żydówka, pięknie mówiąca po polsku, bodajże chyba tego siódmego dnia, wychodząc, podeszła do ojca, jak z pracy, mówi: „Co ty tutaj robisz? Co ty tak tutaj koczujesz pod ambasadą?”. A on mówi tak: „Ojciec został w więzieniu, mama z dwiema siostrami otrzymały pozwolenie na wyjazd, ja nie dostałem pozwolenia. Byłem, już wielokrotnie próbowałem w każdej komisji. To już później jak enkawudziści niektórzy mnie widzieli, że ja czekam w kolejce do tej komisji, a już byłem nie raz, to już mnie z kolejki wypychali, już absolutnie nie pozwolono mi. Więc – mówi – nie mam żadnego wyjścia, zostaję tu, póki Pan Bóg mnie ileś dał jeszcze tych godzin”. Słuchajcie państwo, ona poszła do domu. Następnego rana przyniosła mu kawałek

chleba i mówi do ojca: „Masz, idź do tego i do tego pokoju, dostaniesz pozwolenie na wyjazd”. „Ja tam byłem kilkakrotnie, ja stamtąd najgorzej byłem wypychany”. Nalegała, żeby ojciec poszedł właśnie do tego i do tego pokoju. I tak się stało, że jak wszedł i jak było: „Domański Zygmunt”, ten enkawudzista nawet jednego słowa nie spytał, ani jednego słowa nie powiedział, tylko od razu stemplował i oddał ojcu pozwolenie. I ojciec dzięki polskiej Żydówce został uratowany. Ojciec z więzienia dzięki lekarce, polskiej Żydówce, również został uratowany. Ojciec do końca życia opowiadał, że w takim szoku byłem z tym, co się dzieje, że ojca stracą, że żałował do końca życia, że się nie spytał, jak się ta Żydówka nazywała. Jak się nazywał dyplomata, który zareagował na te guziczki harcercy. Mówi: „Nie wiem, ja go pierwszy raz w ambasadzie jego widziałem”. No i z kolei dziadek bardzo krótko tutaj w Polsce żył, ojciec też. I jak to w tych czasach komunistycznych wszyscy przeważnie byliśmy inwigilowani. Dziadek to już był dobitnie, do chwili życia, do sześćdziesiątego trzeciego roku, nawet mam dokumenty na to, że dziadek był inwigilowany. Pochowaliśmy dziadka na tym cmentarzu. I jeszcze, na tym cmentarzu w Cieksynie, gdzie dziadek był pochowany, dlaczego sobie tak życzył. Bo tam jest duża mogiła legionistów z bitwy warszawskiej, z dwudziestego roku. I dziadek jeszcze, jak wrócił w pięćdziesiątych latach, a były nazwiska, to mówi, że niektórych ich znał. I tyle co mogę jeszcze powiedzieć na ten temat, to dziadek powiedział tak, że około 200, dużo, zabrali ich, bo dziadek również, nie w tej bitwie brał udział, ale z drugiej strony Warszawy również. To mówi tak: „Okolo 200 zabrano do Modlina, tych, którzy zostali zabici, do zbiorowej mogiły”. Mówi: „Dużo rozbięły rodziny, które bliżej Warszawy czy gdzieś w obrębie mieszkały, a dowiedziały się, to przyjeżdżały i zabierały ich ciała. A to, co w Cieksynie leży, to najwięcej tyle, co ja patrzyłem po nazwiskach, tyle co ja znałem, to – mówi – z kresów wschodnich, tych, których nikt nie zabrał i ci, którzy mieli daleko do domu”. I jak dziadek wrócił, i był właśnie, na tej leśniczówce właśnie, w tej „Aleksandrii”, to powiem państwu, że dziadek mówi: „Cóż ja mogłem zrobić?”. Jeszcze wtedy cmentarz nie był ogrodzony. Zasadził dookoła tej mogiły dęby, żeby wiadomo było, w którym miejscu, bo mówi: „Różnie to się może trafić w tych czasach, u nas w Polsce”. Zasadził dęby. I dopiero kilka lat temu, jak my jeździmy często na ten cmentarz, te dęby były ścięte. To tak aż nam się troszeczkę przykro zrobiło. Prawdopodobnie w ogrodzeniu czy w postawieniu pomnika przeszkadzały, a dziadek po prostu zaznaczył, w którym miejscu leżą właśnie ci z bitwy warszawskiej. No i mój tato, jako syn, starsza siostra, mówiła, że: „Tak, dziadka i babcię ekshumować stamtąd i przenieść do naszych rodzinnych grobów”. Sprzeciwiała się zawsze ciocia, najmłodsza córka, sprzeciwiała się. A myśmy chcieli do Myszynca, do mogiły naszej rodzinnej, zbiorowej, ze względu na to, że dziadek tam był po wojnie pierwszej przydzielony, bo tam brał udział w walkach. I się dowiedziałam właśnie, że ten 30. pułk brał udział, właśnie pułk piechoty brał udział tam w walkach i dlatego żeśmy chcieli dziadka zabrać, ale ciocia, ta najmłodsza, która długo żyła... Później całe życie, przez wiele lat mówiła, że żałuje, że nie pozwoliła ona jedna, że się sprzeciwiała. I „Ja już jestem – mówi – nad mogiłą, lada moment umrę”. Wręcz nam zostawiła oświadczenie i nas prosiła, i nam zleciła, żebyśmy ekshumowali i przenieśli do mojego taty, czyli do syna. Tam i drugie dziecko jako małe leży, tam leży mój brat, czyli wnuczek mojego dziadka itd. I tak się stało, że dzisiaj jestem w IPN-nie, a wczoraj żeśmy dziadków ekshumowali i przewieźliśmy do Myszynca. Jak była na przykład taka pani Fulmykowa. Pan Fulmyk był starostą przed wojną, legionista, który był w Zambrowie, tam gdzie ten pan się interesował. Tak się złożyło, że tę panią Fulmykową w tej pierwszej wysyłce samą z dziećmi zgnęli, a jej mąż zdążył uciec Rosjanom. Okazało się, że później Niemcy go złapali i wywieźli do Niemiec, i ona sama była z dziećmi. Ta kobieta się bardzo żałowała. A mój dziadek jako wojskowy, to tym bardziej te żony legionistów to ogarniał i jak był mężem zaufania, to wspierał. Ona miała różnych dzieci i to też jest bardzo ciekawe, bo ona z pierwszą tą turą ewakuowała się, jak się ewakuowała armia Andresa, w tym pierwszym etapie, bo to były

dwa etapy. Tak się złożyło, i też takim cudem. I jak tato jeździł, i jak nam w dzieciństwie opowiadał... Nagrywa pan, tak? I jak nam w dzieciństwie opowiadał, że, mówi: „Gdzie ja pojechałem nieraz samochodem coś tam przewieźć – to mówi tak – pierwsze jechałem albo na dworzec, a jak byłem w Kujbyszewie to do ambasady, nawet jak nie miałem nic do załatwienia”. „Tato, po coś ty na te dworce jeździł?”. Jako my dzieci się pytamy. A ojciec mówi tak: „Dziecko, na obczyźnie to Polacy gdzie mogli się tylko grupować? Jak ktoś nie miał dachu, to koczowało na dworcach to wszystko albo w ambasadzie”. I tam wiele swoich znajomych z Polski, wiele się osób spotkało. I tak między innymi tej pani Fulmykowej, Kazimierz Fulmyk, najstarszy syn, on skończył przed wojną dwie klasy podchorążówki i też jak ta wojna wybuchła, to on był najstarszym synem i on już w Rosji to wstąpił do wojska polskiego. I właśnie był w armii, i tak się złożyło, że on dostał bilet, tam gdzieś znów został w Rosji przeniesiony, dostał bilet. Ta pani sama nie dawała rady sobie i dziadek wystarał się, żeby z innego miejsca tę panią Fulmykową z tymi dziećmi przenieść nawet do tego baraku, gdzie moja rodzina była. Że u nas wszyscy dorośli, pracujący, żeby wspierać. Nie tylko ją, po prostu, po bożemu, żeby Polak-Polak, jak może tak wesprzeć. I tak się okazało właśnie, że tak było. I ojciec, będąc kiedyś na dworcu, stał z dwoma innymi oficerami, i ojciec mówi: „Ja patrzę, na dworcu Kazik Fulmyk stoi. I podbiegłem do niego, jeszcze sobie zażartowałem – mówi – do niego – mówi – szeregowy do rozpoznania”. „Zygmunt, poznaję ciebie. Powiedz, co się dzieje z mamą moją? Pisałem do mojej mamy i nie mam żadnej odpowiedzi”. „Nie martw się, Kazik, twoja mama z rodzeństwem twoim jest w naszym baraku, my pomagamy jej przetrwać”. „Zygmunt, dobrze, że ja ciebie widzę, ja mam w tej chwili – mówi – dwa bilety do wyjazdu – z armią Andresa w tym pierwszym etapie – pamiętaj, przywieź mnie matkę i rodzeństwo wszystkie”. I ojciec mówi: „Kazik, dobrze”. Umówili się w mieście jednym, tam gdzie był wyjazd i na jakimś rogu tam ulicy, co ojciec też to znał. Okazało się, że drugi, młodszy brat, chorował na dyfteryt. I dojechali gdzieś tam samochodami, a później ojciec mówi, że czternaście kilometrów ciągnął go na saneczkach w gorączce leżącego. I te dzieci, i ta, mówi, pani Fulmykowa, to ciężko to się szło, mówi, bo to jakiś okres... Już nie wiem, czy to było lato czy zima, tego już nie pamiętam, ale sanki, to była zima, jak go ciągnął na tych saneczkach. Dotarli i mówi tak: „Ale już było po czasie, tak jak ja z Kazikiem byłem umówiony, więc zostawiłem panią Fulmykową z dziećmi i biegiem”. I mówi: „Stał wojskowy, wartownik i ja się pytam, że ja do Kazimierza Fulmyka”. Zawołał go, a on tak mówi: „Zygmunt, myślałem, że już nie dotrzesz”. Mówi: „Spóźniłem się, bo ciągnąłem twojego brata – mówi – na saneczkach”. A tam było bodajże sześcioro ich dzieci wszystkich. Więc mówi: „Pamiętaj, pierwsze: zaczynaj Zygmunt od najmłodszych”. I ten Kazimierz Fulmyk, dlatego to wszystko było tak przeładowane: czy okręty, czy pociągi, czy samochody, bo on najpierw z tymi dwoma biletami wchodził, przeprowadzał swoje rodzeństwo, brata czy siostrę młodszą, zostawiał ją w kajucie, wychodził, a ojciec w międzyczasie drugą osobę podprowadzał. I na końcu tak podprowadzał panią Fulmykową. I tak się stało, szanowni państwo, że wypłynęli. Dziadek mój w jednym okręgu jak był mężem zaufania, bo profesor Kot prosił, a później jak trzeba było pisać poświadczenia dla Polaków, to również profesor Kot, tylko już nie pamiętam w którym mieście: czy w tym Melekesie było, czy w jakimś tam sąsiednim okręgu, że dziadek pisał poświadczenia dla Polaków. A później, wiem, i to ojciec zostawił nawet na piśmie, że tym mężem zaufania za dziadka to był najpierw ten pułkownik Prechitko, a później za jakiś czas był kapitan Niedźwiecki. Zaczyn były aresztowania. Bo aresztowanie to było po wyjściu armii Andersa. Moja rodzina miała wyjechać z armią Andersa w tym drugim etapie. Babcia już była spakowana, a dziadek mówi: „Zosia, zobacz, mój Boże, ile osób ginie. Jedyna szansa, żeby wyrwać, pojedziemy dwa dni przed wyjściem armii. Zdążymy. Poczekaj, jeszcze ileś Polaków, jeszcze zdążę im te poświadczenia popisać”. I tak się stało, że jak pojechali dwa dni wcześniej, okazało się, że armii już nie ma, że armia wyruszyła wcześniej. Wrócili do Melekes z powrotem i co? I dziadek później, tam

po kilku dniach znów pojechał do ambasady, do profesora Kota i to są słowa profesora Kota, że: „Panie Stanisławie, nasz wywiad przechwycił, że Stalin nie chce puścić już armii generała Andersa, II korpusu, więc – mówi co – daliśmy znać do Londynu, Londyn, nasza ambasada, natychmiast się ewakuować”, dostał rozkaz generał Władysław Anders. Mówi: „Brytyjczycy to nawet odradzali, że niech Anders tylko się ewakuuje z wojskiem, bo tyle jest, kilkadziesiąt tysięcy cywili, że nie uda mu się z cywilami ewakuować”. Generał Anders jednak nie zostawił cywili. Pan Bóg dopomógł i udało się ewakuować im wszystkim. Ale moja rodzina, nie tylko moja rodzina, zostały dalej. I wówczas zaczęły się aresztowania. Właśnie, werbowanie ich do armii, do batalionów rosyjskich itd. Ta pani objechała cały świat. Po wojnie dwóch tych synów, ten, który był na tych saneczkach – Leszek, co był chory, ten z kolei, Kazimierz, najstarszy, walczyło nawet pod Monte Cassino, oni oboje Fulmykowie. Jeden z nich stracił prawą rękę. Do mojego taty pisał lewą ręką listy. Jeden został w Kanadzie, drugi był w Londynie. Normalnie, że biednie się im powodziło. Pani Fulmykowa, ich mama zaczęła pisać do Polski, znalazła adres, już nie wiem skąd, mojego ojca, z Myszyńca i zaczęła pisać, ale takie listy konkretne. I te listy do niej wracały, cenzura je cofała, że mówi, nie wszystkie, ale część listów wróciło. Więc zaczęła bardzo łagodnie pisać, bardzo łagodnie i listy zaczęły do Myszyńca, do mojego taty dochodzić. W dokumentach mam to wszystko nagrane i mam te listy, i bardzo dziękuję, bardzo wzruszające tam są momenty w liście, jak się chlebem dzielili. A ile tu słów pociechy, otuchy i ciepła od mojej rodziny, użyczyła jej cała rodzina, to do końca życia że tego nie zapomni. I na końcu listu jest napisane: „Kochany Zygmsiu – mój tatuś miał ponad czterdzieści lat, a ona tak jak w Rosji – kochany Zygmsiu, twój tatuś jest dla mnie bratem, twoja mamusia jest dla mnie siostrą, a wy jesteście moi bratankowie i moi siostrzeńcy”. I tak się stało, że ta pani w sześćdziesiątych latach przyjechała do Polski, ale na bardzo krótko. Była kilka dni u swojej rodziny, a większość tego czasu poświęciła na nasz rodzinny dom w Myszyńcu. Pamiętam, bo ja już byłam w szkole podstawowej. Wzruszające momenty były, nie można było patrzeć, jak mój tata z panią siedzieli naprzeciwko siebie, trzymali się za ręce, płakali i było tak: „Zygmsiu, pamiętasz to? Zygmsiu pamiętasz to?”. Płakali, a tato całował panią Fulmykową po rękach: „Pani Fulmykowa, niech pani nie płacze”. Nie można było w domu słuchać tych tragicznych opowieści, które były. I powiedziała: „Ja jestem świadomie więcej dni u was, póki wyjadę do Londynu, z tego względu, że wy byliście prawdziwą dla mnie rodziną”.